

kurzawą. Pokryte szronem bezlistne pnie drzewne dumały spokojnie, panowała dostojna cisza; wiszary skrzęptęgo śniegu na gałęziach świerków niby cudne koronki przeświecane przez słońce i mieniące się wszystkimi barwami tęczy, zachwycaly wzrok bajecznymi kolorami. Tak zastygnąć wśród tego lasu — na tle precudnego obrazu, — trwać i pozostać tu na zawsze, było naprawdę moim dziecinnyim marzeniem. Osiadły na drzewach śnieg był tak biały, że przechodził w niebieskość. Tylko wysoko na cyplach niebosiężnych drzew złociły się wierzchołki, lub błyszczwały jak brylanty zaróżowione ostatnimi błyskami słońca.

Zanim ojciec załatwił formalności kupna i odnalazł rewir w którym leżało zakupione drzewo, krótki dzień grudniowy dobiegał kresu. Stać w miejscu i czekać aż sanie zostaną załadowane, nie ma celu, — mówił ojciec, — zwłaszcza, że i tak lasem na drzewie, jechać nie będzie można, — pójdziemy na przełaj do domu. Kiedy wyszliśmy z lasu na pola, zapadał zmierzch. Mróz pofolgował wprawdzie, ale zaczął padać suchy drobny śnieg, który stopniowo stawał się coraz gęściejszy i dokuczliwszy. Wiatr dał mocniej i mocniej, w końcu zadymka śnieżna rozszałała się na dobre. Szybko zrobiło się ciemno, straciliśmy orientację na którą stronę wyszliśmy z lasu, poprostu zgubiliśmy kierunek, a las był już za daleko za nami, by wracać i szukać w nim stron świata, albo zasłony od zawieji.

Wiatr wzmagął się z każdą chwilą, ziemia zdawała się stękać, trząść się z przestrchu i zimna, przeraźliwy szum wył i jęczał w uszach i w głowie. Zdala dochodziły wycia i chóry nigdy niesłyszanych melodyj, huczało w uszach tak, jakby świat się walił i zapadała się ziemia. Szalejący orkan podnosił potężne lawiny śniegu i niósł je z sobą. Kręcące się i wirujące, sięgające do nieba słupy śnieżne zwały się na nasze głowy obrzucając nas całymi tonami śniegu i grud wyrwanych skądś z ziemi.

Nie wiadomo, gdzie znajdowała się droga, byliśmy wśród rozległych pól sami, samiuteńcy, nigdzie światła, nigdzie życia ludzkiego widać nie było. Wiatr smałał twarze i oczy ostrymi igielkami, które piekły jak rozpalone żelazo, obracał nami na wszystkie strony, pchał wstecz lub na bok, zapierał dech w piersi, przenikał do kości; zaklejał śniegiem oczy i usta, siekł niemiłosiernie; czasami podnosił w górę chcąc rzucić o ziemię, tak, że tylko ostatnimi wysiłkami utrzymywaliśmy się na nogach. Nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, dokąd idziemy, szliśmy przed siebie w niewiadomym kierunku, miejscami brnęliśmy powyżej kolan w zaspach śnieżnych z trudem wydobywając nogi i czuliśmy obaj, że jakkolwiek idziemy stale i wytrwale tylko nieznacznie posuwamy się naprzód. Mówić do siebie było trudno, zresztą obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że mówić nie ma o czym, że należy trwać i zмагаć się do ostatniego tchu, inaczej śmierć. Biała śmierć, jak ją podówczas nazywano. Obaj modliliśmy się w myśli, każdy po swojemu, prosząc Boga o pomoc i ratunek.

Wskutek długiego zmagania się z wiatrem ogarnęło mnie szalone znużenie. Poruszałem nogami tylko dlatego, by nie zdradzić przed ojcem strasz nego osłabienia, czułem, że z powodu okropnego

zmęczenia ogarnia mnie nieprzemierzona senność. Ach, runąć tak w miękki śnieg, — myślałem, — bodaj na pół godziny, już nie aby spać, ale chwilę odpocząć, zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że gdybym runął, nie miałbym już ani siły ani chęci do podniesienia się. W pewnej chwili zaplatałem się o własną nogę i padłem w śnieg, ale równocześnie poczułem, że ojciec podnosi mnie i chce wziąć na ręce. Oprzytomniałem natychmiast. Na to pozwolić nie mogłem. Widziałem, że ojciec zatacza się również ze znużenia i wysiłku. Niosąc mnie, padłby po kilkudziesięciu krokach i zginęlibyśmy obaj. Ojciec potrzebniejszy matce i rodzeństwu niż ja.

Nie tatulu! — prosiłem — idź sam, ja tu zaczekam, aż sprowadzisz konie. Sam prędzej natkniesz się na ludzi i znajdziesz drogę. Nieść się nie dam, — tylko chwilę odpocznę.

— Czy pomyślałeś o tym, — krzyknął zrozpaczony ojciec, — że nawet lekkie zdrzemnięcie się równa się śmierci, że z takiego snu nikt się już nie budzi, zapomniawszy, że matka czeka w domu niespokojna? — gdybym nawet odnalazł ludzi, to ciebie śnieg przysypie i znajdę cię chyba na wiosnę. Nie chcesz zobaczyć jeszcze bodaj na chwilę matki?

Troska o matkę poderwała mnie jeszcze raz na nogi, wydobyłem z siebie ostatek sił, przemogłem się i zataczając się z nieludzkiego utrudzenia zacząłem znowu dreptać obok ojca spoglądając na niego, czy idzie jeszcze razem ze mną. Przecież walczy tak samo z wichurą jak ja, dobywa ostatka sił i trapi się, że wkrótce padniemy obaj z zwierzęcego przemęczenia, senności i zimna.

Najbliższy słup śniegu, który uderzył we mnie oślepił mnie na chwilę swoim blaskiem, mimowolnie ukląknę; przypomniałem sobie natychmiast, że ojciec zechce mnie znowu wziąć na ręce i padnie przy mnie, a ja nie będę mógł go podnieść, zerwałem się momentalnie i zbliżyłem się do ojca; wziął mnie za rękę i szliśmy tak obaj ręka w rękę jeszcze długo, nie wiedząc dokąd. Grzęźliśmy w głębokich zaspach śniegu smagani wiatrem i wyciem zawieruchy. Po pewnym czasie zdołaliśmy wygramolić się z rowu pełnego śniegu i stanęliśmy na twardym gruncie z którego wichura zmiotła śnieg i wtedy spostrzegliśmy, że znajdujemy się na drodze. Wstąpiła w nas nadzieja a z nią przybyły nowe siły, gdyż czuliśmy, że w końcu dojdziemy do jakiejś ludzkiej osady, zwłaszcza, że po twardej drodze szło się łatwiej.

Szliśmy więc, krok za krokiem, wiatr uspokajał się powoli, za to dokuczał silniejszy mróz, który przenikał przemoczoną potem bieliznę, dobierał się do ciała i szarpał je boleśnie jak wściekły pies.

Trzeba było koniecznie iść raźniej, by zagrzać się znowu, ale zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa, z ciężkim trudem podnosiły się od ziemi, Obaj z ojcem byliśmy wykończeni równomiernie do naszych sił.

W pewnej chwili do uszu moich doszedł głos dzwonnka od sani, ojciec nie słyszał go jeszcze, nie chciał uwierzyć, że Opatrzność zsyła nam jakąś pomoc. Przystanęliśmy czekając, by dowiedzieć się gdzie jesteśmy, rozpytać się o drogę. Sanie zrównały się z nami. Z pod ciężkiej baranicy wysunęła